

mnie zaraz profanem, zoilem, i *et cetera*; ale że już dziś tytuł *uczonego*, znacznie staniał, iż nawet peruki, *gratis* nim bywają obdarzane, więc *non curo verba malorum*.

§ I.

Nie bez słusznej odrady, przy dzisiejszym postępie literatury, spostrzegać można wykroczenia autorów i tłumaczy przeciw dobrej polszczyźnie. Styl wyciedzony, wygnieciony, wysuszony, używanie i tworzenie niewłaściwych wyrazów, nakoniec fałszywa składnia, która częstokroć nasz język w obcym kroju przedstawia, szerzą się coraz bardziej jak zaraza morowa.

Zdaje się, że npowszechnienie unasjęzka francuzkiego, z wielu miar, zwłaszcza pod względem nauk użyteczne, — pod względem oyczystej mowy za pierwszą przyczynę złego położyć można; wielu dziś bowiem, zakonanych że tak powiem w ludzących zwrotach francuzczyzny, chcąc niemi język swój wzbogacić, kaleczą go i wyzuwają z najpiękniejszych własności, — co ztąd najpospoliciej wynika, że duch jednego i drugiego zupełnie dla nich jest obcym, czyli wyrażniej mówiąc: że ani po polsku, ani po francuzku nieumieją.

Prawda, że na to miejsce, znika już coraz bardziej, ów makaronizm salonowy, zaraza przeplatania w potocznej mowie francuzkich wyrazów żywcem wziętych z polskimi, — skutek szanownego zabytku ednakacji domowej z ostatnich lat osmnastego wieku, jeszcze idźmy mającego gdzie niegdzie wielką powagę i wziętość; (*) lepiejby jednak było bez jednego i bez drugiego się obejść, — bo złe czy małe czy wielkie, nigdy się z dobrem nie pogodzi.

Drugie zupełnie podobne temu złemu i nierównie szkodliwsze skutki przynoszące, jest *nowatorstwo*, czyli manija przekształcania i skracania wyrazów polskich dla tego, że nam się nieplynnemi i przydługimi być zdają, lub tworzenia składanych na wzór niemieckich, które łącząc rzeczownika z przymiotnikami w jedno jakie nazwisko, zwłaszcza w przedmiotach technicznych, wprowadza do naszego języka śmieszne poczwarki cudzoziemskie, gorzej daleko brzmiące od tych, któreśmy z łacińskiego lub niemieckiego przyswoili.

Zaiste niemałą już przysługę mowie oyczystej uczynili ci, którzy umieli zręcznie oczyścić ją z obcych makaronizmów, lecz gdy ten dar szczęśliwy nie wszystkich pisarzy jest udziałem, gdy wyłącznego poświęcenia się i gruntownej biegłości w słowian-

szczyźnie, znajomości dawnych pisarzy z dobrym smakiem połączonej wymaga, nie tak więc nagle trzeba tworzyć wyrazy, i nie tak zaraz porywcz, narzucać ich przyjęcie.

§ II

W dawnych pisarzach polskich nienapotyamy nigdzie tak rażących jak dzisiaj zboczyń, od prawdziwej pisowni. Wprawdzie niemają oni tej czystości, płynności stylu (*) tej ludzącej polszczyzny, jaką w wyborze dzisiejszych dzieł, zachwycani bywamy; bo też żyli w epoce, w której nasz język z niemowlęstwa i surowizny ośmiu poprzednich wieków, pod Zygmuntemi dopiero otrząsać się zaczynał; szli oni tylko za przyrodzonym rozwijaniem się swych zdolności, dowiec stanowili ich gramatykę; — on ją stworzył pomimo ich wiedzy, kształcił, że tak powiem, bardziej wedle szczególnych natchnień i pomysłów, niżeli powszechnych zasad z ducha języka wynikających. Głęboka za owych czasów znajomość literatury łacińskiej, była im wiele pomocną do wykształcenia własnej, — uczul ją Kochanowski i napisał *Ortografią* polską; ale prócz nieśmiałego rozbioru głosek i nadania polskiemu abecadłu aż pięćdziesięciu prawie liter, nic więcej nie powiedział.

Niekaleczono atoli mowy polskiej cudzoziemczyzną wyrazów, chociaż, jak nam dowodzi Janaszowski, w krótkich swoich uwagach gramatycznych o francuzkim, włoskim hiszpańskim i niemieckim języku, mowa tych czterech narodów, nie była już obcą Polakom. Niepodlegano wtedy nagannemu wielu dzisiejszych urojeniu, którzy pod względem składni chcą gwałtem zbratnić polszczyznę z wszystkimi językami: — równie nie wpadano w dziecinną maniją tych, którzy dziś w miejsce przyswojonych dobrze wyrazów klasycznego języka Rzymian, płodzą nam coraz dziksze utwory w wielu naynowszych pismach, tak odrażliwie sterczące. — Słowem przodkowie nasi XVI wieku pisali prostą, niewyszukaną, niełatwą, ale czystą, chociaż mniej kształtną polszczyznę. — Kiedy przeciwnie w naszych teraźniejszych płodach literatury, a nawet w dziełach powagą uczności odznaczać się nsiłających, coraz liczniejsze uderzają nas dziwolągi, tak dalece: iż gdyby to dłużej potrwało, język nasz za lat dwadzieścia przyszedłby do tej niedoli, że ile miałby pisarzy, tyle rozmaitych pisowni i tyleż do ich zrozumienia, wymagałby może słowników.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

(*) Płynność stylu, w żadnej szkole nabyć się nie da; jest ona wyłącznym darem dowcipu, rodzajem harmonii muzycznej, bardzo małej liczbie piszących właściwej; — jej tajemnice ukryte są dla powszechności piszących. Wszystko co dotąd o stylu powiedziano, jest ubogą słów zbieraniną, jest częstokroć bluźnierstwem przeciw stylowi. Kto stylowi chce przypisywać prawa, niech pierwszy pozna się z muzyką tej mowy w której pisać zamierza, i w tedy nawet napisze coś sam dla siebie tylko... i potem spali.

(*) Niedawno jeszcze z podziwieniem czytaliśmy w gazetach podanie czyjeś, zapraszające na gwernera do dzieci, koniecznie Francuza lub Szwaycara, a dopiero w braku tych dwóch kicynotów ofiarując ten obowiązek Polakowi, byle, rozumie się *eo ipso* dobitniej mówić po francuzku niż po polsku.